

SAMOBÓJSTWO

W STOSUNKU DO CYWILIZACYI.

(Wyjątek ze studyów E. Caro).

(Dokończenie).

II.

Werteryzm.

Choroba Werthera, tak często nazywana chorobą wieku, była chorobą skomplikowaną. Było w niej potrosze wszystkich pierwiastków ludzkich, i każda z władz duszy złożyła tu swój podatek. Była i wyobraźnia bezpłodnie czynna, szarpiąca się, była i wola ze swemi nędzami, omdleniami i zamętami, była i wrażliwość w walce z niewykonalnemi pragnieniami. Zawsze to i przede wszystkim była melancholia zakochana w samej sobie. Smutek ten wyjątkowy w swym rodzaju wyrodził się z chrystyanizmu, ale z chrystyanizmu popsutego przez uczucia zupełnie nowoczesne.

W gruncie charakteru Werthera i liczne zastępy tych, których natchnął, znajdziesz wpływ pewnego rodzaju poezyi marzycielskiej, odwracającej od działalności, i chefliwego zwątpienia, lubiącego wchodzić w samo siebie w prawdziwem bałwochwalstwem.

Jestto nowe uczucie tęsknoty namiętnej, rozkoszującej się samą boleścią, smakującej we własnych ranach, która miłuje i pieści swe tajne cierpienie. Nic podobnego prawie nie znała starożytność ani literatura XVII wieku.

Duch starożytny miał swoje smętność, ale była to, że tak powiem, smętność epikurejska, zrodzona z przesytu i załująca, że rozkosz zawsze nowa nie trwała przez całą wieczność.

Tęsknota filozofa *Heraklita* i tajemnicze dźwięki wyrywające się z duszy niektórych poetów, takich jak *Eschyles*, *Pindar*, *Lukrecyusz* i *Wirgili*, były wyjątkowe; Rzymianie i Grecy upojeni szczęściem ziemi, skarżyli się tylko na krótkość życia i nie trwałość szczęśliwości. „Chwytajmy chwilę obecną, bo nie wiemy, jaki nam zamęt i znudzenie przyniesie nadchodząca; używajmy, bo przyjsz może śmierć, przed którą zwiędłą wieniec kwieiste na naszych skroniach.” Tak śpiewał *Anakreon*, tak śpiewał *Horacy*!

Godniejszej, wznioślejszej i obfitszej w wielkie myśli tęsknoty, nauczył nas chrystyanizm; téj, która się rodzi w głębokiem poczuciu nicestwa życia wobec wieczności, nicości człowieka wobec Boga.

Pojęcie nieskończoności raz obudzone w duszy człowieka nie da mu już wytehnienia ani pokoju.

Dziwna niespokojność pójdzie za człowiekiem aż do jego rozkoszy, i wszystko szczęście téj ziemi nie zdoła zapęłnić przestworności jego pragnień, skoro raz tylko zakosztował tego świętego upojenia.

Tkwi więc w chrystyanizmie ziarno nieśmiertelnej smętności, której wpływ odczuła cała literatura i filozofia chrześcijańska. Smutkiem tym religijny teńnęły już psalmy hebrajskie, Księgi Mądrości, a przedewszystkiem Księgi Jobowe; piętno jego spotykały na każdej karcie Ojców kościoła. Ożywia on piśmienictwo XVII wieku, najwyższą wymowę, jak i najwyższą poezję. Onto podyktował *Kornelowi* owe ustępy, gdzie *Polyeukt* z progu wieczności rzuca na rozkosze świata przekleństwo męczennika; onto natchnął *Paskalowi* jego nieporównane *Myśli*, które w jednej frazie obejmują nieskończoność; onto wreszcie zrodził w *Bosnuecie* wielkie słowo prawie lirycznej poezyi.

Ale na dnie tęsknoty chrześcijańskiej leżą myśli podstawowe i poważne, które duszę utrzymują i nią kierują; tęsknota ta ma i przedmiot określony i granice stałe.

Dusza, którą to uczucie owładnie, wie czego się trzymać w życiu; nie oddaje się marzycielstwu jałowemu, przybiera prawidła ściśle, które są dla niej i karnością i podstawą razem, oszczędza czas swój próby doczesnej na korzyść własnej wieczności, zatapia się nie w Bogu, ale w modlitwie, ma się na wodzy z całą siłą, nie rzuca się na drogi awanturnicze i niebezpieczne; a jeżeli czuła i niespokojna dusza *Fenelona* poddaje się chwilowo wdziękowi marzeń mistycznych, zaraz ją głos kościoła przywołuje do prawdy i prawidłowości. Uczucie więc religijne jest charakteru poważnego, reguluje się podług dogmatu; nie marzy, ale działa.

Nowożytna tęsknota ma również w swym pierwiastku uczucie boleści tego, czego przeznaczeniu człowieka niedostaje; ale kiedy duch chrześcijański opiera się na tém uczuciu, aby przenieść się w sferę wiary, ona poczucie nieskończoności zaprawia

uczuciem niespokojnego zwątpienia, lubuje się w rozmyślaniu nad tym bolesnym kontrastem, jaki widzi między zachceniem człowieka a rzeczywistością, między jego pragnieniami bez granic a przeznaczeniem, które się mierzy własną jego niedoskonałością. Jest w tém jakaś próżnia straszna, coś nieokreślonego, co stanowi wdzięk dziwny i niebezpieczny. Wyobrażnia gubi się tu z rozkoszą, unicestwia się wola. Istnienie jest tylko snem niespokojnym. Dusza cierpi i rozkoszuje się zarazem pod wpływem téj smętności marzycielskiej. Cierpi od owéj niezmierzonej próżni, którą czułość spotyka w życiu, od owych złudzeń rozumu i serca, które marzyły o wiedzy lub miłości niemożliwej, od owéj niewypowiedzianej troski, którą w nas rodzi myśl o nieskończoności, gdy téj myśli nie powściągamy w ścisłych karmach wiary, nadziei lub modlitwy. Cierpi, ale zarazem rozkoszuje się swemi marzeniami, mrzonkami, siłą, którym tak wiele niedostaje, nawet swém cierpieniem, którego używa za pozór do zajęcia się sobą i zamknięcia się w wiecznym rozmyślaniu, tak podobnym do uwielbienia. Jest jakaś słodycz w takiem cierpieniu; lecz nie zapominajmy, że ta bałwochwalcza uprzejmość duszy dla siebie saméj obezczula ją niopotrzeźnienie, czyni niezdolną do działania, wytęży sprężynę woli, a jeżeli w tém jest jakieś usposobienie romantyczne, wyznajmy, że nie jest to stanem normalnym ani zdrowym. Niezdolność działania, sprowadza wkrótce niemoc życia.

Wiecznie skierowana ku własnej analizie, dusza staje się drażliwą do zbytku, niecierpliwą na zawady, męczy się życiem, to jest wysileniem, i zwolna daje się opanować zaciekawieniu śmierci. Poza wiarą, dla duszy po śmierci jest tylko coś nieznanego, niezmierzonego; ta tajemnicza przyszłość jak ciemna zagadka pobudza duszę na progu owych nieokreślonych smutków, które nie mają lekarstwa, jak nie mają przyczyny, zjawia się myśl samobójstwa, jako jedyny sposób wyrwania się z męki życia i poznania ostatniego słowa przeznaczenia.

Z takiego to uczucia tęsknoty powstała przy końcu XVIII wieku szkoła literacka samobójstwa.

Znaną jest wszystkim: Werther, Jacopo, Ortis, Manfred, René, Oberman, Adolf, Rafael, Jakób, jest to smutna rodzina owych bohaterów, których pra-ojcem był Hamlet. I rzeczywiście ojcostwo prawdziwe téj chorobliwej rasy należy się Szekspierowi. Myśl jednak jego zaczęła wydawać owoce dopiero przy końcu zeszłego stulecia. Obłąkanie Hamleta zrozumiano dopiero przez cierpienie Werthera!

Goethe odpowie przed historją za ten romantyczny typ namiętności i melancholii. Onto dał nazwę téj chorobie umysłu nowoczesnej.

Nadzwyczajne powodzenie Werthera, które było więcéj jak sukcesem literackim, pokazuje że Goethe przedstawił coś innego od uniesień fantazyi, lub uczuć indywidualnych.

Była to boleść prawdziwa, która przemawiała w owej książce, pokolenie zaś, do którego się zwrócono, przyjęło ją z entuzjazmem, poznając w niej część swęj duszy, wiele ze swych namiętności, marzeń i smutków.

Kiedy na 15 lat przed Rewolucyą Francuzką ukazał się Werther, wszędzie panowało pewne chorobliwe znużenie i namiętne oczekiwanie. Przeczuwano, że coś umierało, a coś się rodziło; umysł był zarazem i obudzony i bezczynny. Było się w zawieszeniu przed przyszłością, która się gotowała, ale nie działano, bo nie widziano nigdzie celu, gdzieby użytecznie zmierziała akcyą. Ta gnusność gorączkowa łatwo się przeradzała w marzenia obłądne, w miłości urojone, w owe żywioły gorącej i rozstrojonej wyobraźni. Nie wiedząc gdzie się zwrócić, zwracano się do namiętności sztucznych, które lubiano knuć dla samych siebie, by przez to wytknąć jakiś cel życia. Lecz marzenie nie długo podtrzymuje czynność; trzeba dlań oparcia dzielniejszego, bo ta pobawiwszy się chwilę z urojeniami, upadała prędko, zostawiając w duszy gorzkie tylko uczucie próżni. Nicestwo ducha kołysane marzeniami, czyż nie jest widoczną cechą tego pokolenia entuzjastów i sceptyków, metafizyków i sentymentalistów, pokolenia o słabej woli, o gwałtownych namiętnościach, pełnego sprzeczności i zachceń, pogardzającego czynem i ginącego w gnusności, które tak porywająco Werther uosobił.

Najlepiej ten stan moralny opisał sam Goethe w swoich *Pamiętnikach*. Nigdzie nie znajdziesz głębszej analizy téj choroby życia. Goethe, to Werther, do jego cierpień i pokusy samobójstwa posunęty!

Werther, to więcej niż człowiek, to pokolenie całe!

„Wśród suchych studyów (mówi on) pozabawion wszystkiego, co porusza i wzrusza, ciągnąłem to życie obumierające.

Zdawało mi się, że cel mego życia chybiony, dusza moja buntowała się przeciwko losowi nie odpowiadającemu moim pragnieniom, przeciwko egzystencji bez celu i honoru. Znajomość głęboka i smak w literaturze angielskiej, której nie przestawałem uprawiać, zwiększały jeszcze obszar mych smutnych rozmyślań.

Zdarza się często, że w najszcześniejszym położeniu brak działalności połączony z pragnieniem czynu, pcha nas ku potrzebie śmierci i wzbudza w nas pragnienie nicestwa. Żądamy wtedy od bytu więcej, niż nam dać może, a ten podatek nadzwyczajny, który nań nakładamy, nie mogąc być ani stałym, ani wystarczającym nienasyconej chciwości żądz naszych, sprawia, iż zachciewamy bezmyślni, pozbyć się życia, które nie odpowiada wysokości i kapryśnym wymogom naszych wyobrażeń. Ja wiem, ile mię kosztowały cierpień wszystkie te dociekania, wiem także, ile wysileni umiałem zrobić, aby się uwolnić od ich ustawicznego natręctwa. Wzięcie, jakiego używał Werther, przekonywało mię, że te same idee, jakkolwiek chorobliwe, nie były tylko mnie właściwemi. Nie ukrywałem więc ani tych boleści, jakie dzieliłem

z ludźmi mej epoki, ani mych rozmyślań o samobójstwie, które pochłoneły większą część mej młodości. Wyznaję, że wszystko w życiu zdało mi się monotonnem. Wydany na łup niesmaku, nie czuły na miłość, nie słyszałem już owego słodkiego głosu natury, który w przerwach peryodycznych wzywa nas do rozkoszowania się jej cudownemi przemianami. Stan mój był podobny do głuchoty nieszczęśliwego, którego słuch nie odbiera już żadnego dźwięku.

Lessing gniewał się na wieczną zieloność wiosny; chciał, aby liście zamiast zieloności, zawsze tej samej, miały barwę purpury lub lazuru.

Znałem Anglika, który się powiesił z nudów dlatego, że się co dzień ubierać musiał, oraz poczciwego ogrodnika, który oparłszy się na rydlu, zawołał z naiwną rozpaczą: „Wieczniź patrzeć muszę, jak te przekłete obłoki przelatują po niebie z jednego końca na drugi?”

Siła tej choroby moralnej stosunkuje się często do przymiotów i sił nieszczęsnego, który się staje jej ofiarą. Bogactwa morynych, niestałość przyjaźni i miłości, wszystkie przypadłości losu ludzkiego ranią duszę gorączliwą i gorączkową; bezzilni w zapasach z własnymi nłomnościami, zużywamy się tą walką nieskończoną.

Wpadamy ciągle w te same błędy; często poczytujemy je za cnoty nawet, a nie mogąc oddzielić jednych od drugich, rozpaczem naszą niemocą, postanawiamy zwyciężyć je przez cios sztyletu.

Takie to myśli ogarnęły swym zgubnym wpływem moje wyobraźnię. Rozmyślałem długo nad różnemi sposobami, jakimi człowiek mógłby się uwolnić od życia.

Posiadałem dosyć znaczny zbiór broni starożytnej, między innemi miałem wytwornie wyrobiony sztylet, którego ostrze w dzielnej ręce mogłoby w mgnieniu oka spełnić to, co Szekspir nazywa *wielką akryą rzymską*.

Często go przykładalem do mego łoua, lecz mię siła opuszczała. Przekonałem się wtedy, że to pragnienie śmierci było we mnie tylko fantazyą smutnego rozstrojenia. Zacząłem się śmiać z siebie, i wyleczyłem się. Jednakże znudzenie nie opuszczało mię i męczyło. Trzeba mi było dzieła poetycznego, w którémbym mógł złożyć te smutne myśli; tylko przez ich wypowiedzenie i nadanie im wylotu, mogłem się od nich uwolnić. Plan Werthera był już więc gotowy; dzieło tak naraz poczęte, naraz było napisane. Widziadła oblegające mą młodość, przybrawszy rzeczywistość, dokończyły mego wyleczenia.”

Wiadomo, jak cierpienia młodego Werthera zapalały Niemcy a później Francję; wiadomo również, jak Goethe rzuciwszy w świat ten jęk wielki, sam się przestraszył, kiedy zewsząd usłyszał jego echa głębokie i przeciągłe.

Tak to wielcy poeci są tłumaczami ducha ogólnego w pewnym momencie dziejowym, ze wszystkimi jego cierpieniami

i natchnieniami; o tyle tylko są wielkimi, o ile umiać wyspie-
wać wstrząśnienia ogółu. Ulegają wpływom własnej epoki
i kraju, bo oni dali wyraz tym ideom, które się nie mogły okre-
ślić, i tym uczuciom które się jeszcze nie pojmowały, bo oni
umieli poruszyć serce ludzkości, która przed nimi nie miała sło-
wa ani głosu i poświęciła ich na swych wieszczów wybranych.
Lecz wpływ ten swój epoki rosnący do nieskończoności, przeka-
żują oni następemu wiekowi, oddziałującą w swęj kolei z nie-
wypowiedzianą potęgą na pokolenie, które na nich działało.

Myśl Werthera, Goethe zaczerpnął w głębokiem uczuciu
cierpien swego czasu; współpracownikiem jego w tym utworze
jedynym był duch marzycielski jego kraju i jego epoki. Swoją
drogą natchnął on całe pokolenie i wlał w nie ów smak tęsknoty,
ową ciekawość grobu, ową zdolność cierpienia, ową namiętność
dociekań, z których ulepił charakter swego bohatera. Rozlał
daleko zarazę rozpaczey poetyckiej. Dzieło więc jego było na-
raz i skutkiem i przyczyną. Z boleści prawdziwej i wzrusze-
nia ogólnego zrodził się romans jego, upowszechnił on smak,
a nawet rzecz można, część tej boleści, wprowadził modę owego
wzruszenia, które było cierpieniem, i więcej niż przez lat 40 samo-
bójca nosił strój Werthera!

Goethe miał tylko fałszywą pokusę samobójstwa; kazał
więc na swe miejsce umrzeć Wertherowi.

W ćwierć wieku później Chateaubriand dotknięty tym sa-
mym niesmakiem życia posunął rzecz dalej od Goethego; tylko
go prosty wypadek uratował, jeżeli można wierzyć *Pamiętnikom*
Pogrobowym.

„Otóż, mówi on, doszedłem do chwili, gdzie potrzebowałem
pewnej siły do wyznania swęj słabości; człowiek, który się targa
na własne życie, mniej pokazuje dzielności duszy, a więcej odsła-
nia słabości swęj natury. Miałem flintę myśliwską z cyngłem
zużytym. Nabiłem ją trzema kulami i udałem się w miejsce
samotne, odwiedłem kurek, włożyłem lufę w usta, uderzyłem kol-
bą o ziemię... strzał nie wylatał. Zjawienie się strażnika wstrzy-
mało me postanowienie.

Fatalista bez woli i wiedzy, uważałem, że godzina ostatnia
dla mnie jeszcze nie wybiła; wykonanie więc mego zamiaru
na inny raz odłożyłem. Gdybym się był zabił, wszystko czém
byłem, byłoby ze mną poszło do grobu, nie wiedzianoby nic
o tajemnicy tego wypadku, byłbym powiększył zastęp nieszcze-
śliwych bez imienia; nie mógłby nikt pójść za śladem mych cier-
pień, jak rauny za śladami krwi swęj.

Nie wyleczył się jednak Chateaubriand, jak się to udało
Goethemu, nawet napisawszy swego René, i całe jego życie, jak
się sam malowniczo wyraża, było długim ziewaniem nudów.
Na dnie tych wyniosłych niesmaków, czyż nie widać próżności
obrazonęj? Ileż małości w tych rozpaczach, które rzucają po-

gardę życiu i światu! Ilużby to podobnych bohaterów nie zbawiono, oddając im teki ministeryalne w swym czasie!

Nie można jednak zaprzeczyć, że trwała ta choroba wieku. Niepokój, znudzenie się światem, zmęczenie życiem, polot ku rzeczom niewidzialnym często łamany, a nie ugięty, namiętność romantyczności niezdolna poddać się obowiązkowi, jakie sprowadza każdy dzień, każda godzina, pragnienie duszy, która wedle wyrażen Goethego, chce *pić życie z pieniaącego się kielicha nieskończoności*, oto są cechy liryzmu, który nie miałby ani tej wielkości, ani tego blasku, gdyby nie czerpał natchnienia w uczuciach pełnych szczerości.

Podstawmy w miejsce uniesień panteistycznych Werthera, jakąś religijność, a mieć będziemy: *Rozmyślenia i Harmonie* (Lamartine).

Jest to ten sam rodzaj wzniosłości upajającej, melodyjnej a smętnej. Znajdziem tam zawsze na dnie smak śmierci. Gdyby Rafael nie był zmysleniem, i miał byt rzeczywisty, byłby doświadczał jak Goethe i Chateaubriand pokus samobójstwa.

„O! umierajmy, mówiła Julia, umierajmy; składając tę przyszłość wątpliwą i złowrogą w ostatniem westchnieniu, które przynajmniej na wargach naszych zostawi nam smak czystej, zupełnej szczęśliwości.

To, co usta mówiły uchu, co twarz mówiła oczom, to, co natura uroczysta, niema, grobowa w blasku swój wspaniałej godziny mówiła moim zmysłom, to samo, z tą samą siłą, mówiła mi dusza moja.

I dwa oddzielne głosy, które słyszałem i z zewnątrz i wewnątrz powtarzały te same słowa, jakby jeden był echem drugiego. Zapomniałem o wszechświecie i odpowiedziałem „umierajmy”. Koło naszych ciał, które były złęczone jakby całunem, owiązałem ośm razy, sznur sieci rybackiej, jaki miałem w łódce pod ręką.

Podniosłem ją rękami, które jeszcze miałem wolne, aby się rzucić w fale wodne. Lecz w chwili, kiedy rzut mój miał nas zanurzyć na zawsze, uczułem, że jej twarz zbładła; upadła mi na piersi jakimś ciężarem martwym, a ciało zgięło się w kolanach. Nadmiar wzruszeń, szczęście skonania razem, wyprzedziły śmierć samą: omdlała mi w objęciach.”

Idąc z biegiem wieku spotkamy w marzącej młodości George Sanda to same oczarowanie śmierci, pod wpływem książek romantycznych, które opowiedziała w „*Historji swojego życia*”.

Zdawało nam się ciekawem to zbliżenie zdań znakomitych poetów. Znudzeni życiem: Goethe, Chateaubriand, Lamartine, George Sand przeszli pokusy samobójstwa. Oni są przedstawicielami w żywej rzeczywistości owej choroby wieku, którą jeden z nich tak dobrze określił, że jest to bez wątpienia choroba, lecz choroba, której uczucie samo jest wdziękiem zamiast bólu, w któ-

rój śmierć podobna do śmierci mistyków Indyi, jest rozkosznym omdleniem w nieskończoności.

Żyli oni i cierpieli jak bohaterowie ich poematów. Stworzyli pewną tradycję samobójstwa.

Czyż się można dziwić, iż w wyobraźni tych ludzi powstała literatura romantyczna, rozumująca, entuzjastyczna, pełna pogardy ku działalności człowieka, a ciekawości ku temu, co jest niewidzialnym, drażniącą wolę ku akcyi, a pchającą ją ku namiętności, lubiąca przerywać wiecznie wyobraźnię od zmęczenia życiowego do zagadkowości śmierci; literatura, co w miejsce poważnej smętności chrystyanizmu, (który nie wyklucza akcyi, ale ją pomnaża przez miłość chrześciańską), przedstawia rodzaj tęsknoty niespokojnej, lubiącej się zamykać w samotnym wzburzeniu marzyciela?

Taką jest ta literatura, prawdziwa literatura samobójstwa, której wpływ tak wszechstronnie działał na przeszłe pokolenie.

Już jest daleką od nas ta epoka, nie tyle przez liczbę lat, ile przez różnicę naszych obyczajów, a choć się spotka tu i owdzie óplakanych następców Werthera, jest to zawsze już rzadkość, tak, że ostatni spadkobiercy tej rasy należą do anachronizmów.

Nie można jednak powiedzieć, aby samobójstwo zmniejszało się pośród nas; owszem statystyka uczy, że się powiększa. Ale zmieniło już swój charakter, ma ono inne teraz źródło, które nie w sobie nie ma literackiego.

Poszukajmy tego źródła. Nie trzeba kalnąć swojej epoki; jest się obywatelem chwili tak samo jak obywatelem kraju; pewien więc rodzaj patryotyzmu nie pozwala zdradzać jednego jak drugiego. Nikt jednak nie zaprzeczy, że postęp nie jest nam dany zadarmo, i że w wysiłkach społeczeństw nowoczesnych do zorganizowania się na nowych podstawach, tkwią nieuchronne przyczyny cierpienia.

Jedną z cech naszego wieku jest powstanie demokracji. Ileż ztąd wstrząśnień w życiu społecznym! Porządek stary runął przez swą nieruchomość, porządek nowy wystawiony jest na niebezpieczeństwo zbytcej swęj ruchliwości. Otwarto podwoje i wezwano do działalności rosumnej najgodniejszych i najlepszych. Ale ten wybór stał się masą. Ileż tu gorących próżności, ile mierności napuszonych! Trudno tu znaleźć siłę moralną w równowadze z pragnieniami i inteligencyą.

Wola nie była równą walce, upadała pod boleścią i wysileniem. Pałaca czynność jednostek, któreby pragnęły zdobyć miejsce choćby na słońcu, gorączka ambicji, niemoc skazana na powrót do swego niceswa, inteligencya zdradzona przez wolę, zdolność nieuznana przez los... oto przyczyny złowrogich rozpacz.

Postęp!... wielkie to słowo, co więcej, to idea święta! Ale czuwajmy, aby postęp nie był tylko materyalnym i nie sprowadzał nieszczęść strasznych, którychby uleczyć nie potrafił. Pięknym jest zaiste widok nauki i przemysłu, pokrywających całą

kulę ziemską dziełami godnemi podziwu, pięknym również widok człowieka panującego nad naturą, przestrzenią i czasem.

Lecz czyż przeto cywilizacya dzisiejsza jest w stanie normalnym i zdrowym? Widzimy, z jaką zastraszającą bezproporcją wzrasta z dniem każdym kontrast zbytku i nędzy. Nędza nowoczesna jest daleko trudniejszą do zniesienia od nędzy dawnych czasów. Ma ona swe sumienie, rumieni się sama przed sobą. Cierpkość jej i drażliwość zwiększa owa pół-oświata ogólna, która się rozlewa w atmosferze, którą się oddycha mimowolnie, i o! męczarni najwyższa, jeszcze się bardziej, niż kiedykolwiek w skutek ruchu samego nowożytnego życia, miesza z ową wykwinnością, wyszukaną, z owemi blaskami drażniącemi, które są udziałem szczęśliwców wieku. Widzi ona bliżej ten zbytek, przed którym błędną czary *Tysiąca i Jednej Nocy*.

Wszystkie więc pokusy wyobrażeń i zmysłów rzucają kolejno tym biednym człowiekiem, który pod łachmanami szczęka od zimna i głodu, lub co gorsza, w czarném wytartém ubraniu drży pod ścianami modnych kawiarni, teatrów lub balów. Nie-szczęśliwy ten, może w tysiącznych kolejach życia społecznego marzył także przez chwilę, o owém szczęściu błyszczącym, które się przesuwa przed jego oczyma! Czyż ten obraz jednej nocy zimowej nie wystarczy, aby nazajutrz cela więzienna zamknęła jednego więcej z przybyszów?

Potrzeby zbytku rosnać obudziły w pewnych warstwach społecznych straszny, nienasycony głód i pragnienie bogactwa, którego nie nakarmić nie zdoła. Są, i to w wielkiej liczbie, ludzie rzadkich zdolności, zdumiewającej czynności, którzy z całym wytężeniem rozumu i sił gonią za chimarami losu. Wszystko, co zostaje po za ich bajecznemi żądzami, jest dla nich niczem.

Czyżbyśmy byli zdolni odmalować owe hanbiące gorączki gry papierami, owe nadzieje graniczące z szaleństwem i owe trwogi wiodące do rozpacz; albo wykazać owe wyobraźnie chorobliwe, ofiary szalu rzucające się w *fata morgana* milionów.

Któż nie zna tej choroby i jej skutków? Cóż to za życie, wydane na pastwę tym strasznym hazardom powodzenia lub upadku, rzucane od szczytów do przepaści! Życie takie jest tylko grą olbrzymią. Jeżeli się wygrywa, dubluje się i jeszcze się dubluje stawkę, aż do oznaczonej cyfry.

Ale dla tego kto wygra, ileż jeszcze brakuje i brakuje ciągle! Gra on mniej, ale z większą zapamiętałością, a jeżeli go los zdradza, daje na ostatnią stawkę swe życie; jeden tur jeszcze, a przegrał i... umiera!

Czyż więc jest to obmowa naszej epoki, czy słabym tylko obrazem niektórych jej popędów?

Nie wszyscy zapewne spekulują, nie wszyscy gonią za owemi bajecznemi fortunami, które stanowią prawdziwą pokusę dla niektórych umysłów chorych. Lecz każdy mniej więcej pragnie

gorąco dobrobytu. Gdzież są dziś owi mędrcy dawni, do których tradycya wiąże życie skromne, i którzy się stawali bogaczami przez poskramianie swych pragnień!

Zyje się wiele, i żyje się prędko; coś nagli do tego. Cywilizacya ma gorączkę i tę nam udziela. Wyczerpuje się rozum, aby wyprodukować wszystko co może, i w jak najkrótszym czasie. Nie pozwalają mu ani się podnieść przez naukę, ani odnowić przez wytechnienie. Gwałcą jego działalność, wołają nań o cuda, aby je natychmiast obrócił w zbytek. Używanie i praca przesadzają się, każdy puszcza z całą parą własną lokomotywę, póki nie pęknie!

Nie było epoki, w którejby z większym zuchwalstwem nadużywano życia; nie było ludzi, którzyby jak dziś, padali w biegu swiej karyery, jak piorunem rażeni.

Powiedział Goethe: „Każda działalność bez wytechnienia, kończy się bankructwem.” Słowa te mogłyby posłużyć za godło obecnej epoki.

Bankructwo, o którym mówi Goethe, jest bankructwem rozumu lub życia, szaleńcem lub samobójstwem. Oto straszna alternatywa, do jakiej doprowadza działalność rozstrojona w społeczeństwie, zapominając o obowiązku, dla którego Bóg sam staje się coraz bardziej zagadką.

Tak więc ambicya złamana, niemoc chępliwa, wola bez hartu, zniechęcona przez konieczność walki, nędza wiecznie drażniona przez sąsiedztwo wyuzdanego zbytku, szal spekulacyi, pośpiech gorączkowy życia, niepokój właściwy społeczeństwu nowym, które szukają równowagi i dotąd jej nie znalazły... oto wpływy nowej cywilizacyi, pod którymi powstaje samobójstwo.

Od lat 20stu zaszła jednak wielka zmiana obyczajów. Werther dni naszych zanadto jest czynny, aby mógł marzyć. Zabija się jeszcze... ale bez frazy... i dlatego... że się zgrał na giełdzie!!

